TADEUSZ GRUŻEWSKI

:: :: PRECZ :: ::
Z JEDNOŚCIĄ!

1911

PRECZ Z JEDNOŚCIĄ!

T. GRUŻEWSKI.

PRECZ Z JEDNOŚCIĄ!

ZBYTEK CZY BRAK INDYWIDUALNOŚCI

Czy naród ma iść bezmyślnie za głosem ambitnych jednostek, czy też powinien wydawać jak najwięcej jednostek sa- :: :: :: :: modzielnych. :: :: :: ::

Każdy człowiek powinien wiedzieć czego chce i stać silnie przy swojem zdaniu, :: :: nie dbając o "jedność.". :: ::

Co to jest "niezgoda?".

1911
A. A. Paryski, wydawca,
Toledo, Ohio.

Psychologia "jedności" naszej.

Nie należy zbyt skwapliwie dowierzać samoocenie jakiejś osoby, choćby ta zawierała surową krytykę jej własnych wad: dziwnie przebiegłą jest sofistyka serca ludzkiego i dziwną okazuje ono zręczność w niedostrzeganiu wad istotnych, z któremi rozstać się nie chce. Jak często pod pozorem nieubłaganej samokrytyki umie ono w rzeczywistości pochlebić temu, co w człowieku najlichsze, co najmniej godne szacunku, umie ono ukoronować słabość i marność i złożyć winę na inne, częstokroć całkiem fikcyjne właściwości.

Jesteśmy narodem nieszczęśliwym, który oddawna skarży się gorzko na los swój, który w poczuciu swych błędów dziejowych nie szczędzi sobie bolesnej samokrytyki. Czy można jej zaufać, czy trafiliśmy na swe istotne wady, na prawdziwe przyczyny naszej niedoli? Naród w pełni powodzenia i tryumfu może się zdobyć na to, ażeby śmiało wejrzeć w głąb swej duszy i dojrzeć swoje najlepsze i swoje najgorsze — naród przywalony ciężkiem brzemieniem losu za wiele o niem pamięta i traci jasny, nieuprzedzony sąd. Najbardziej rozpowszechnione opinie o naszych przymiotach i wadach są bezwątpienia najbardziej odległe od rzeczywistości.

Od kilku dziesiątków lat moraliści i politycy nasi ustalają jako niewątpliwy pewnik, że naszem histo-

rycznem nieszczęściem oraz główną wadą narodową jest **niezgoda,** która uniemożliwia wszelką sprawniejszą organizacyę i w zarodku paraliżuje zdolność do zbiorowego czynu. Owa niezgoda, która w dziejach naszych była istną puszką Pandory, wynika — tak głosi ta teorya — z wygórowanego indywidualizmu jednostki, która odpycha ze wstrętem wszelkie jarzmo życia zbiorowego, która tak ceni swoje zdanie i swą wolność, że poświęcić ich nie chce na rzecz najbardziej nawet uprawnionych, najbardziej niewątpliwych potrzeb zbiorowych. Jesteśmy narodem indywidualistów; w naszej przeszłości historycznej rozkuliśmy pęta jednostce tak, jak żaden inny naród; mieliśmy odwagę posunąć się do samego bieguna odwiecznej antytezy: państwo—jednostka i bujny wzrost jednostki przypłaciliśmy upadkiem państwa.

Wiele rozprawiano o naszym indywidualizmie i wiele o niego kopij skruszono. Miał on w naszej literaturze politycznej i publicystycznej zaciętych i nieubłaganych oskarżycieli, ale miał również i idealizatorów. Kiedy pierwsi zwalali nań całe brzemię naszego losu dziejowego, drudzy podnosili niesłychane moralne znaczenie samej zasady, która na historyi naszej wycisnęła piętno tak dziwne i tak szczytne. W zapale walki ani jednym ani drugim nie nasunęły się wątpliwości co do przedmiotu sporu, co do samego indywidualizmu. Jedni go przeklinali, drudzy wynosili pod niebiosa, ale, o ile wiem, nikt nie poddał krytycznemu rozbiorowi samej diagnozy. Należało przedewszystkiem postawić znak zapytania nad samą teoryą, a już potem chwalić lub ganić nasz rzekomy indywidualizm. Trudno wyobrazić sobie większe nieporozu-

mienie. Powyższa teorya, która dla wielu z nas stała się pewnikiem, z której wysnuwa się lecznicze przestrogi, mające naród uzdrowić i wlać weń cnotę zgodności—teorya ta jest jedną wielką niedorzecznością, która wyraźnie urąga rzeczywistości. Stawia rzeczywistość nawspak, przewraca do góry spodem najważniejsze fakty dziejowe, każe widzieć zbytek indywidualizmu tam, gdzie w istocie mogła być mowa jedynie o braku silnej, samodzielnej jednostki. Ten brak właśnie a nie nadmiar stanowi rys znamienny naszej historyi w porównaniu z dziejami zachodniej Europy. Spętani fałszywą teoryą, pochlebiającą nam w pewnej mierze, gotowiśmy w słabości i niewoli jednostki widzieć warunek siły społeczeństwa lub przynajmniej państwa. A przecież przykład społeczeństw anglosaskich, opierających swą moc oraz zdolność zbiorowego działania na silnej, samorządnej jednostce, okazuje całą kruchość powyższej antytezy. Tymczasem nie jest to wcale kwestya, któraby zamykała się tylko w zakresie teoryi. Przeciwnie, z fałszywej i niedorzecznej diagnozy wypłynęła zabójcza terapia, którą od pół wieku blizko sui generis lekarze chcą uzdrowić nasz naród. Kardynalny przepis tej osobliwej terapii nakłada na jednostkę **obowiązek wyrzekania się na każdym kroku swego zdania** na rzecz prawdziwej lub nawet urojonej większości, na rzecz uznanych lub nawet nieuznanych powag, na rzecz panującej opinii lub nawet panującego nastroju. Kto ma własne zdanie i odpowiednio usiłuje oddziałać na otoczenie, ten w opinii ślepych czcicieli "jedności i zgody" jest następcą Sicińskich, ten da-

lej prowadzi ich niszczycielską robotę i dobija naród, który przecież tylko **jednością** podźwignąć się może.

Rzecz nie do wiary: **społeczeństwu, które cierpi na brak silnych charakterów i zdecydowanych opinij, zalecono jako deskę ratunku kult baranich cnót!**

Naszą słabość lub nicość w zakresie czynu zbiorowego naiwnie nazywamy niezgodą i przypisujemy ją specyalnej właściwości charakteru — niezgodności. Przypomina to mocno molierowskiego lekarza z jego **virtus dormitiva**. "Niezgoda" nie zależy przecież od cech indywidualnego charakteru, lecz od całego szeregu historycznych i być może innych jeszcze przyczyn, których stanowi odległy skutek; jest ona **par excellence** faktem życia zbiorowego, nie indywidualnego i nie znajduje odpowiednika w żadnej właściwości oddzielnej jednostki. Niepodobna przecież do faktów życia politycznego i społecznego stosować miary ze stosunków towarzyskich, gdzie "zgodność" i "niezgodność" ma znaczenie dość określone. Ale właśnie w życiu towarzyskiem umiemy być zgodni i układni; "niezgoda" występuje wtedy dopiero, kiedy chodzi o czyn zbiorowy, który wymaga czegoś więcej niż miłej i przyzwoitej atmosfery towarzyskiej.

Zaś postulat zgody w sferze czynu zbiorowego pozostaje zawieszony w próżni, gdyż w żaden sposób nie można go przełożyć na język indywidualny, na określony nakaz dla jednostki. Czy mamy przed sobą kilku lekarzy, którzy mają określić chorobę pacyenta i przepisać odpowiednią kuracyę, czy polityków lub wodzów, który układają plan pokojowej lub zbrojnej kampanii czy jakiekolwiek wreszcie grono ludzi, któ-

rzy powziąść mają decyzyę — wszędzie w takich wypadkach nawoływanie do zgody i jedności bez wskazania jednoczącego punktu widzenia i działania jest krzyczącym absurdem. W jakiż sposób jednostka A lub B, przeświadczona o trafności swego poglądu, ma się przyczynić do osiągnięcia ideału zgody? Łatwo obojętnemu świadkowi burzliwych rozpraw powiedzieć: "nie kłóćcie się i decydujcie się na jedno," ale słowa te nie zawierają najmniejszej wskazówki, **które ze ścierających się zdań należy przyjąć.** Czy pierwsze lepsze z brzegu, aby tylko dojść do zgody? Czy może przyjąć opinię środkową? W rezultacie jest się najzupełniej pozbawionym określonej wskazówki postępowania; wie się tylko, że nie trzeba obstawać mocno przy swem zdaniu. Ale w takim razie nie warto długo się trudzić nad wyrobieniem sobie zdania, jeżeli na każdym kroku trzeba je poświęcać dla miłej zgody. Najlepiej nie mieć go wcale i odrazu stanąć po stronie większości. Z braku zdania, ze słabizny moralnej robi się zasługę obywatelską!

Trzeba zawsze ustępować większości. Tak głosi kanon bezwzględnych zwolenników jedności. Co więcej nie tylko trzeba ustępować jej w dziedzinie czynu zbiorowego, ale nawet w dziedzinie myśli. Trzeba przyjąć za swoją opinię większości.

Tu atoli zasada wikła się we własnych konsekwencyach. Ponieważ z wielkiem prawdopodobieństwem trzeba będzie wyrzec się własnego zdania na rzecz większości, więc mocą naturalnego nałogu umysł jednostki zamiast starać się dojść do własnych wniosków będzie usiłował odgadnąć zdanie większości. Już w okresie formowania opinii jednostka nie mówi

za siebie, lecz za innych. W ten sposób prawdziwa opinia wcale wytworzyć się nie może, a zamiast niej powstają jedynie nastroje, które przez czas krótki panują z despotyczną władzą po to tylko, ażeby niezadługo ustąpić miejsca innym nieraz biegunowo sprzecznym. Zbiorowisko ludzi, w którem każdy osobnik ustawicznie ogląda się na innych i skwapliwie przejmuje się ich uczuciami i myślami, jest niczem innem jak tłumem i zdradza wszelkie cechy psychiki tłumu. Przechodzi ono od jednej ostateczności w drugą, porusza się pod wpływem bodzców drobnych i przypadkowych, pozostając ciągłą igraszką okoliczności. Prawdziwa opinia godna tej nazwy, taka opinia, która jest siłą społeczeństw kulturalnych, tutaj wcale powstać nie może, gdyż nie ma swego naturalnego podłoża. Tem podłożem są jednostki samodzielne, możliwie niezależne, które wiedzą czego chcą i odważają się mieć własne zdanie. Dla takich jednostek decyduje o dojrzałości i tęgości opinii publicznej; kiedy jest ich bardzo mało, albo niema wcale, tam nie może być mowy o opinii, tam w gruncie rzeczy niema też społeczeństwa, a jest tylko stado ludzkie.

Pomijam problemat "ludzi samotnych" jako nie wiążący się ściśle z kwestyą, o której mowa. Chodzi o ludzi, związanych różnymi węzłami życia zbiorowego i bynajmniej nie przeciwstawiających się normom życia ani danemu społeczeństwu. Otóż nie należy zapominać, że różnorodne węzły prawa, obyczaju, wartości moralnych i t. d., które tworzą idealną podstawę spójni społecznej, jakkolwiek są pochodzenia nie indywidualnego lecz zbiorowego, wszelako załamują się w świadomości oddzielnej jednostki

jako jej własne instynkty, nałogi, upodobania i zasady. Od niemowlęctwa nasiąka jednostka tą spuścizną wieków, lecz odczuwa ją jako swoją własność i przeważnie nie zdaje sobie sprawy z jej pochodzenia. To wspólne dziedzictwo stwarza i wspólne dążenia, które wyrażają się we wspólnych czynach. Masy ludzkie idą jedną drogą dlatego, że przewodniczy im jeden sztandar, który każda z drobin ludzkich widzi i za którym podąża. Jednostka nie trzyma się gromady, lecz wspólnego sztandaru; tylko pod tym warunkiem sama gromada może się sprawnie poruszać i dokonywać czynów zbiorowych.

Skupiać można tylko dokoła czegoś, łączyć można tylko za pomocą idei jednoczącej. Idea ta unosi się po nad całością i ponad jednostkami tworzącemi skupienie, lecz jednocześnie przemawia do każdej z nich zrozumiałym językiem. Jest ona wspólnem dobrem: ludzie łączą się dla wspólnej obrony i wspólnego kultu tego dobra. W różnych okresach dziejów różne idee stanowiły zasadę jedności narodowej; rolę tę pełnił np. we Francyi monarchizm, który zdaniem Taine'a skupił dokoła siebie, ukształtował i niejako stworzył sam naród, w Szwajcaryi naród stworzyła idea niepodległości dzielnych chłopów, którzy wspólnemi usiłowaniami ratować ją musieli od zaborczych zakusów książąt.

Łączność powstaje dzięki czynowi zbiorowemu, dzięki wspólnemu dążeniu: bez tego samo hasło solidarności jest puste i jałowe, wisi w próżni bez żadnej siły. Może ono apelować chyba tylko do stadnego instynktu, który każe jednostce trzymać się kupy, który owce i inne bierne, lękliwe stworzenia zbija

w gromadę lub w chwilach popłochu każe im wszystkim biedz jedną masą.

Może apelować do znanego przysłowia: "dla towarzystwa dał się Cygan powiesić," atoli wątpić należy, czy taka "idea" wystarczy do jakiegokolwiek czynu zbiorowego.

Przykazanie solidarności bez wspólnej myśli redukuje się do maksymy: rób to, co robią inni. Ależ za pomocą takiego łącznika niepodobna zebrać nawet porządniejszego zgromadzenia. Należy przecież oznaczyć czas i miejsce, a więc dać jakieś wskazówki, które są wspólne dla wszystkich uczestników, które atoli są obowiązujące dla **każdego z nich oddzielnie.** Cóż stałoby się, gdyby jedyną dyrektywę dla członków zgromadzenia stanowił nakaz trzymania się większości, gdyby miejsce i czas nie były z góry wskazane, lecz każdy oczekiwał, gdzie i kiedy zgromadzi się większość. Mielibyśmy nie zgromadzenie, lecz snujący się bezmyślnie tłum, który chce być posłusznym zasadzie solidarności, lecz nie wie, jak ją urzeczywistnić. A przecież jest to chyba najprostszy i najłatwiejszy przypadek zbiorowego ruchu. O ileż konieczniejszą jest myśl panująca we wszystkich przypadkach ruchów, więcej skomplikowanych i więcej wymagających energii.

Kardynalne warunki bytu społecznego wymagają od jednostki ofiary ze swego "ja" na rzecz ogółu. Atoli rzecz niższą należy poświęcić wyższej; tylko pod tym warunkiem ofiara nie obraża naszego rozumu i poczucia moralnego. Wymagać od jednostki, ażeby z zasady abdykowała ze swej indywidualności, ażeby wy-

rzekała się swego zdania i swej woli na rzecz innych jednostek jest potwornością logiczną i moralną.

A zasada większości? Przecież jest to fundamentalna zasada nietylko demokracyi, ale wogóle wszelkich zbiorowych ciał rządzących.

Jakkolwiek zasada większości nie jest bynajmniej niewzruszonym dogmatem, jakkolwiek możnaby się powołać na bardzo poważne względem niej zarzuty, nie mam bynajmniej zamiaru zwalczać jej lub wykazywać jej braki. Koniec końców jest ona jedyną praktyczną zasadą działania zbiorowego i to zapewnia jej trwałość i siłę, pomimo wszelkich ataków nieprzejednanych indywidualistów. Ale zasada ta, przynajmniej w tej postaci, w jakiej praktykowała się i praktykuje na Zachodzie, wcale nie polega na zduszeniu i unicestwieniu jednostki.

1) W parlamentach i innych ciałach zbiorowych każdy członek powinien mieć własną opinię w omawianych kwestyach: wszak samo głosowanie winno okazać przewagę zdań, a nie chwilowego nastroju. Zarówno w agitacyi przedwyborczej jak w całem zresztą życiu publicznem, każda partya lub nawet każdy członek partyi ma obowiązek głosić wyraźnie i propagować własne zdanie bez względu na to, jaka się zapowiada większość. Oczywiście i w samym parlamencie mniejszość nie ma bynajmniej obowiązku kapitulowania przed większością na rzecz zgody i jedności, lecz ma właśnie prawo i obowiązek bronić swych zapatrywań i krytykować stanowisko większości. Piękny byłby parlament, w którym członkowie z góry oświadczyliby się za zdaniem większości! Sama większość zawisłaby w tym razie w powietrzu, gdyż opie-

rałaby się nie na wyrobionej opinii członków. lecz na domniemanym kierunku woli ogółu. Ta "wola" byłaby wprawdzie jedna, ale chwiałaby się z dnia na dzień jak chorągiewka. Sama zasada większości ma sens tylko w zebraniu jednostek ludzkich, które wiedzą czego chcą, a staje się absurdem w nieosobowym stłoczonym tłumie, w którym myśl i wola członków są, że się tak wyrażę, rozgniecione na jakąś bezpostaciową, kleistą substancyę.

2) Na mocy powszechnie uznanej fikcyi, uchwała większości ma znaczenie uchwały zgromadzenia. Czyż to ma oznaczać, że członkowie przegłosowanej mniejszości mają się wyrzec swego stanowiska i przyjąć zdanie większości? Nic podobnego. Zarówno przed uchwałą jak i po niej mają prawo i obowiązek w granicach legalnych działać w duchu swego własnego przekonania. Mogą oni głosować —i czynią to pospolicie— przeciw dalszym uchwałom zwycięskiej większości, chociażby nawet te wynikały logicznie z poprzednich, ostatecznie przez parlament przyjętych. Rzecz prosta, że każdy cokolwiek wybitniejszy poseł stara się dla swej opinii znaleść grunt i poza parlamentem. Jeżeli należy do mniejszości, musi zwalczać publicznie większość i jej działalność parlamentarną. Potrzeby czasu i opinia kraju zmienia się i przedstawiciel pokonanej mniejszości jutro wysunie się na stanowisko przodujące, a tytułem polecającym go na nie, będzie to właśnie, że miał i głosił wyraźnie to zdanie, ku któremu później przechyliła się opinia. O moralnym obowiązku solidarności z większością nie może tedy być mowy. Prawem i obowiązkiem człowieka jest umieć wytrwale stać przy własnem zdaniu.

Takiem środowiskiem wychowawczem może być społeczeństwo, które uwierzyło, które uświęciło opinię, jakoby słabość narodu płynąć miała z samodzielności i mocy jednostki i odwrotnie? Ta nihilistyczna, zabójcza teorya wylęgnąć się mogła tam, gdzie jednostka nie wierzy w siebie, gdzie chce się wyzuć ze swej osobowości i zyskać oparcie innych — jest ona sama skutkiem i wskaźnikiem odpowiedniego stanu rzeczy, ale bezwątpienia, działając z kolei na umysły, stan ten potęguje i utrwala. Źle i niewygodnie mieć własne zdanie, gdyż w łono jednomyślnej całości wnosi się zaród rozterki. Trzeba tedy każdej chwili być przygotowanym na to, ażeby zdanie to porzucić lub schować pod korzec i w danym razie zgodzić się z większością. Niezdolność do wyrobienia sobie własnego zdania, chwiejność i brak odwagi cywilnej stają się w ten sposób cnotami obywatelskiemi; bezbarwność i nicość pretendują do miana ofiary i samozaparcia. Jakże w podobnem otoczeniu mogą powstawać i rozwijać się samodzielne umysły i silne charaktery? Nawet w tym szczęśliwym przypadku, kiedy przekonanie osobnika jest zgodne z opinią ogółu, należy być gotowym do zwrotu w kierunku przeciwnym, gdyż cechą opinii, która tworzy się w podobny sposób, jest niesłychana chwiejność i niestałość. A więc źle jest wogóle przywiązywać się do swego zdania, źle jest traktować je na seryo, Poprostu szkoda czasu i mózgu na odpowiednią pracę umysłową, skoro najwyższym sprawdzianem wartości naszego stanowiska ma być zgoda z większością.

Nie nadmiar silnych indywidualności, lecz brak ich stanowi naszą klęskę, nie tłumić lecz rozwijać

należy te właściwości, które tworzą podkład silnych charakterów i zdecydowanych opinij. Postulat trzodnej solidarności z hasłem: "dokądkolwiek, byle razem" jest wynikiem ogólnej anemii duchowej i jej idealizacyą. Jest on prawdziwym grzechem przeciw duchowi, grzechem który uświęca bierność, gnuśność i bezmyślność, który obiecuie siłę, a w istocie tylko utrwala ogólną słabość.

Społeczeństwo a tłum.

Wulgarny przesąd uważa jednostkę i społeczeństwo za dwa bieguny, pomiędzy którymi oscylują uczucia i instynkty człowieka, pomiędzy którymi zamyka się świat jego wartości moralnych. O świat ten rzekomo walczą z jednej strony wymagania wolności jednostkowej, z drugiej nakazy społeczeństwa i każda wygrana jednej strony ma być **ipso facto** przegraną drugiej: chcąc wzmocnić rozluźnione węzły społeczne niema innego środka jak nałożyć pęta na jednostkę. Nikt nie wątpi, że my właśnie jesteśmy społeczeństwem, które cierpi na brak spójni i zdolności do skoordynowanych ruchów; z tego niezaprzeczonego faktu wyprowadzono niedorzeczny wniosek, że słabość społeczną leczyć należy przez odbieranie siły jednostkom, przez ujarzmienie ich na rzecz mniemanego dobra całości. Atoli rzecz nie jest wcale tak prosta, jak to zrazu wydawać się może: przeciwieństwo pomiędzy jednostką a społeczeństwem nie jest bynajmniej bezwzględne. Można rozprawiać, ile się komu podoba o wolnych duchach, o silnych samotnikach i t. p.—pozostaje wszakże niezaprzeczonym faktem, że nikt tych duchów, czy samotników nie spotkał na pustyni lub na bezludnej wyspie. I oni są wytworem pewnych warunków zbiorowych i oni żyją w społeczeństwie i często wbrew swej woli i zamiarom pełnią ważną funkcyę zbiorową. Wolna, samodzielna jednostka nie jest żadną antytezą zbiorowości, jest ona

niezbędnym elementem społeczeństwa, a raczej pewnych jego typów. W gruncie rzeczy, to cośmy się przyzwyczaili nazywać "społeczeństwem i przeciwstawiać organizacyi przymusu i reglamentacyi państwowej, opiera się właśnie na wolnej, samorządnej jednostce. W tem znaczeniu śmiało powiedzieć można, że Azya nie zna narodów społeczeństw, a wśród narodów europejskich miano społeczeństwa najwięcej przysługuje temu, który na najmocniejszej i najtrwalszej podstawie oparł wolność i samodzielność jednostki. Pomimo tego społeczeństwa anglosaskie okazują większą spójność wewnętrzną, niż narody kontynentu. Silna, samorządna jednostka nie przestaje być jednostką społeczną, związaną z otoczeniem całą siecią różnych związków i tradycyjnych węzłów. Poglądy, uczucia, instynkty i nakazy, stanowiące istotę spójni społecznej nosi ona w sobie samej jako swą własną treść moralną: będąc drobiną całości zbiorowej, nie przestaje ona być jednostką ludzką, która za siebie samą potrafi czuć i myśleć, która sama wie, czego chce. Wtedy jedynie prąd społeczny znajdzie w człowieku zdecydowanego i wytrwałego szermierza, kiedy w świadomości jego załamie się jako własne, mniej lub więcej osobiste dążenie. Inaczej nie będzie on niczem innem jak modą, której władza wprawdzie zatacza koło szerokie, która wszakże nigdy głębiej nie sięga. Żądać od jednostki, ażeby poddawała się opinii większości niezależnie od swych własnych zapatrywań jest to w istocie głosić rozbrat z wszelkiem głębszem uczuciem lub przekonaniem, jest to zakładać fundament pod niepodzielne panowanie w społeczeń-

stwie mody, a raczej szeregu szybko zmieniających się mód.

Pobieżne zastanowienie się nad podstawowemi funkcyami psychicznemi społeczeństwa prowadzi nas również do wniosku, że siła, sprawność i dojrzałość społeczeństwa zależy od ilości jednostek, które nie są odbiciem innych, lecz same wiedzą czego chcą i umieją wolę swą w określony sposób wyrazić. W istocie takie przymioty jak hart ducha, mocna wola, jasna decyzya, zdolność pokonywania oporów, stałe dążenie do wytkniętych celów — przymioty takie mogą być tylko właściwościami dość rzadkich jednostek i jeżeli cechują postępowanie pewnego społeczeństwa jako całości, to właściwym substratem tych przymiotów są silne jednostki, które je popychają. Lubimy rozprawiać o specyficznej jakoby zdolności organizacyjnej i o braku jej wśród nas, nie zadając sobie pytania, czy owa "zdolność" nie da się rozłożyć na proste właściwości indywidualne.

Na czem polega dobra organizacya? Na właściwym rozkładzie pracy, tudzież ról i odpowiedzialności; należy znaleść oprócz bezpośrednich wykonawców, jeszcze dostateczną liczbę jednostek, którym pewne działy roboty można **powierzyć.** Jeżeli zatem jednostek takich brak, jeżeli niema kim obsadzić stanowisk odpowiedzialnych, to w rezultacie musi nastąpić rozprzężenie i chaos, chociażby wszyscy ożywieni byli pragnieniem "jedności i zgody." Jedna z najlepszych zasad organizacyi — mówi prezydent Roosevelt — to wybrać odpowiedniego człowieka, dać mu dużą władzę i włożyć nań całą odpowiedzialność. Prawda, że stosować ją można tylko tam, gdzie znaj-

dują się w dostatecznej ilości ludzie, którzy są w stanie udźwignąć brzemię władzy i odpowiedzialności, którym trudne zadanie powierzyć można bez obawy, że w chwili stanowczej wykazać się będą w stanie jedynie... dobremi chęciami. Każda silniejsza jednostka świadoma swych dróg i zadań staje się ośrodkiem skupiającym całą gromadę tych, co szukają punktów oryentacyjnych i przewodników. Pełni ona rolę społeczną często jak ten, co **faisait de la prose sans le savoir**; nie myśląc i nie pamiętając wcale o obowiązku pielęgnowania spójni społecznej, przyczynia się do utrzymania jej na mocy tego, że jest pewną siłą, że umie kroczyć własną drogą i prowadzić nią innych. Przecież nie na czem innem jak właśnie na tem polega zdolność organizacyjna Yankesów, która wzbudza takie uznanie nie tylko u nas, ale i wśród zbiurokratyzowanych narodów zachodniej Europy.

Zamiast abstrakcyjnej i w znacznej mierze fałszywej antytezy: **jednostka a społeczeństwo** chcę postawić inną o wiele realniejszą; **społeczeństwo a tłum.** W tłumie brak jakichkolwiek istotnych trwalszych węzłów, jednocześnie wszakże osobowość jednostki gubi się w nim, dochodząc niemal do zaniku. Tłum nie rozważa, nie decyduje się, nie dąży do określonych celów: jego właściwości psychiczne to impulsywność, gwałtowność, zmienność, przesada, przerzucająca się z łatwością w kierunku przeciwnym. Wielu autorów zwracało uwagę na degradacyę umysłowo-moralną jednostek pod wpływem masowej niwelującej sugestyi tłumu. Ta ostatnia przydusza wnet indywidualne cechy jednostki i przyciąga do wspólnego zbiornika jej właściwości podindywidualne:

znana to rzecz i wielokrotnie w odpowiednich dziełach przytaczana, że łagodni, wykształceni ludzie pod wpływem masowej hypnozy nagle przeradzają się w krwiożercze bestye. Psychologia tłumu różni się głęboko od psychologii składających go jednostek: zarówno pod względem inteligencyi jak, i charakteru tłum jest niejako powrotem ku duchowości człowieka dzikiego.

Czemże społeczeństwo różni się od tłumu? Kultem jednostki ludzkiej wogóle i różnych ugrupowań, wytworzonych przez długi rozwój cywilizacyjny. Te ośrodki reprezentują myśl i wolę społeczeństwa, zapewniają ciągłość jednej i drugiej oraz stanowią skuteczną tamę przeciw trzodnym hypnozom. Z pewnego stanowiska możnaby zasadę cywilizacyi europejskiej określić jako staranną ogrodową uprawę jednostki ludzkiej. W długim rozwoju stworzyła ona cały szereg zasad i norm prawnych, zapewniających jednostce szeroki zakres wolności, broniący ją od wszechwładzy tłumu. Należy bowiem zrozumieć, że poza urzędowymi stróżami więzów jednostki stał prawie zawsze tłum, który z natury swej był i pozostanie jednym z najgorszych despotów. Nie społeczeństwu tedy przeciwstawiać należy jednostkę, lecz tłumowi, gdyż to, co stanowi wyższość pierwszego nad drugim dokonywa się właśnie za sprawą silnych, wybitnych i samodzielnych jednostek. Kiedy ostatnich zabraknie, następuje degeneracya społeczeństwa w tłum.

Zasada podporządkowywania własnego zdania opinii większości podnosi do godności ideału taki stosunek jednostki do całości społecznej, jaki panuje w tłumie. Wszak nakazuje ona za regułę postępowa-

nia przyjąć stanowisko cudze, t. j. większości, nakazuje lekceważyć własne sumienie oraz zdanie i zważać tylko na to, co robią inni. Człowiek powinien przestać być sobą, a iść za masą. Tak głosi zasada jedności i solidarności. Otóż psychologia jakiegokolwiek tłumu jest właśnie realizacyą tej zasady i to realizacyą najdoskonalszą, bo doprowadzoną do automatyzmu. Jednostka tutaj tak ściśle zespoloną jest z całością, że nie ma nawet świadomości swego "poświęcenia" i swej wzniosłości moralnej. Zbiorowa sugestya i popęd naśladowczy spełniają zupełnie tę samą rolę co powyższa zasada. Jednostka już nie jest sobą, jest tylko jednem z ziarnek lawiny, która toczy się w tę lub inną stronę, ale zawsze razem, zawsze jednomyślnie. W tej chwili jest ona zagrzana odwagą, idzie śmiało na niebezpieczeństwo; ogólny nastrój przemienił znanych tchórzów w śmiałków. Ale oto nie przeszło półgodziny, a już staje się ona ofiarą paniki i tym razem zmykają co tchu nawet ci, którzy przodowali odwagą. Zasada solidarności i jedności święci tryumf jak nigdzie, a jednak nie spełnia znanej obietnicy, nie daje siły. Tłum nigdzie i nigdy nie był prawdziwą siłą: stawał się on nią dopiero wtedy, kiedy dostał się pod władzą zewnętrzną, pod władzę jednostek, które hypnozie jego nie ulegały, które zasadę solidarności ośmieliły się odwrócić nawspak. W jakiż sposób bez nich zdobyłby się tłum na wytrwałość, energię i wogóle na warunki świadomego dążenia do jakichkolwiek odleglejszych celów? Sam przez się jest on wcieleniem bierności, zmienności i impulsywności, Wychowawczy wpływ zasady jedności i solidarności, przenosząc moralny środek ciężkości jednostki poza

nią, zmierza do wytworzenia w społeczeństwie stałej psychologii tłumu, do zrobienia z niego zwartej, ale biernej i bezsilnej masy.

Rozległa sieć najrozmaitszych związków, łączących całość społeczną podlega złożonej ewolucyi: na miejsce tych, które się rozprzęgają, powstają inne, które racyę istnienia i siłę czerpią z nowych potrzeb i nowych warunków. Warunkiem życia jest ruch: jeżeli społeczeństwo rzeczywiście ma żyć i rozwijać się, muszą krążyć w niem i ścierać się nawzajem różne prądy myśli i działalności. W dziedzinie stosunków politycznych oraz społecznych rozmaite kierunki i dążenia znajdują wyraz w stronnictwach, które są naturalnym i koniecznym objawem życiodajnego ruchu w danem środowisku. U nas zwykło się je potępiać w imię jedności.

Stronnictwa są wyrazem organizacyi opinii politycznej, która z natury rzeczy, o ile płynie rzeczywiście, nie może płynąć jednem łożyskiem. U nas zbyt często patrzy się na wszelkie stronnictwa jak na fakt ujemny, niepożądany, w najlepszym razie na **malum necessarium**, które trzeba tolerować, z którem atoli szczerze się pogodzić niepodobna. Pocóż stronnictwa? czy nie lepiej, ażeby cały naród stanowił jedność? Mamy tylu wrogów, a jeszcze sami pomiędzy sobą wszczynamy kłótnie!

Nie lubimy stronnictw i zbyt często na nie zwalamy wszelkie nasze niedomagania zbiorowe, dzisiejsze i dawniejsze, gotowi jesteśmy nawet utrzymywać, że przez stronnictwa narody upadają i że własna nasza historya winna być dla nas nauką.

Ponieważ stronnictwa i partye w narodzie są faktem naturalnym i koniecznym objawem życia zbiorowego, ponieważ są one wszędzie, gdzie życie to pulsuje, nie mogą same przez się stanowić o sile lub słabości narodu. Nie stanowi też o tem zewnętrzna, formalna jedność. W chwilach depresyi i ogólnej paniki wyrazy: "zgoda i jedność" oznaczać też mogą ogólne zbiegostwo z pod sztandaru obowiązku i jeżeli czcimy pamięć Rejtana, to za to właśnie, że hańby rozbiorowej nie pozwolił ukoronować jednomyślną uchwałą sejmową.

Stronnictwo jest zewnętrznym wyrazem tego samego faktu, którego wewnętrzną treścią jest pewne dążenie, pewna idea; stronnictwo nie jest niczem innem jak grupą ludzi, idących zwartą ławą dla osiągnięcia pewnego wspólnego celu, dla służenia określonej idei. Dlaczego muszą się oni wyodrębniać ze społeczeństwa? Dlatego, że nigdy i nigdzie nowa hasło nie znalazło ogólnego posłuchu, że każde społeczeństwo, zwłaszcza o nieco więcej złożonej budowie składa się z rozmaitych jednostek i niepodobna nawet marzyć, ażeby jakakolwiek idea mogła wszystkich porwać z jednaką mocą i nadać im wszystkim jednaki kierunek. Gdyby nawet abstrakcyjne hasło trafiło do wszystkich serc i umysłów, to spotkałoby się niezawodnie z różnemi zdaniami co do dróg wiodących do celu — i daremnie oczekiwalibyśmy, że wszyscy pójdą jedną drogą. Cóż to więc jest stronnictwo? Gromada lub gromadka ludzi, którzy mówią: "idziemy tą oto drogą; kto pójdzie z nami? Pospolicie, o ile cel jest zrozumiały, przyłączają się inni, jednocześnie zaś w pozostałej masie budzi się słabsza lub

silniejsza reakcya: nowemu stronnictwu obok żywiołów obojętnych przeciwstawia się jakaś grupa, dla której tamten prąd jest niepożądany lub szkodliwy. Takie jest prawo życia zbiorowego: potępić w zasadzie stronnictwa, to znaczy potępić wszelkie prądy, dążenia, idee, pod których wpływem ludzie muszą się szeregować w pewne trwalsze ugrupowania. Nie wyrzucajmy im jednostronności: każdy prąd musi być jednostronnym, bo idzie w pewną stronę, a tylko stojąca woda prawu temu nie ulega.

Anemia wewnętrznego życia nidy nie była czynnikiem siły zewnętrznej. Ze wszystkich absurdów, które wypisywano dla wytłómaczenia upadku Polski, najniedorzeczniejszy jest ten, że zgubiły nas stronnictwa. W ostatnich paru wiekach właściwych stronnictw nie było u nas wcale, bo nie było wielkich zbiorowych dążeń; w unieruchomionem politycznie społeczeństwie znalazło się miejsce tylko na współzawodniczące kliki szlacheckie, nie związane żadnym węzłem ideowym, lecz jedynie osobą magnata, któremu służyły. Stronnictwa, prawdziwe stronnictwa polityczne, ukazały się dopiero na schyłku życia państwowego, kiedy naród uległ działaniu szerokich prądów umysłowych i politycznych, kiedy pod ich wpływem rozpoczęła się wielka praca reformatorska.

Historya nie daje ani jednego przykładu narodu, któryby doszedł do wysokiego stopnia potęgi i kultury w drodze pielęgnowania sielanki wewnętrznej, daje natomiast cały szereg świadectw, że dojrzała samowiedza przodujących narodów świata, ażeby nabrać hartu i mocy musiała przejść przez ciężkie próby walk wewnętrznych, nawet przez płomienie

wojen domowych. Niema państwa w Europie, gdzie by ich było więcej niż w Anglii: konstytucya tego kraju nie była napisana piórem w ciszy gabinetów, lecz krwawemi zgłoskami na polach wojen domowych, a jednak ta właśnie konstytucya jest budową monumentalną, wyróżniająca się z pośród wszystkich późniejszych, którym służyła za wzór. Sorel z naciskiem zaznacza, że Francya wyszła z wojen religijnych wzmocniona, skonsolidowana poczuciem jedności narodowej, uosobionej we władzy królewskiej. Zbytecznem byłoby mnożyć przykłady, świadczące, że nawet wewnętrzna walka zbrojna nie jest największą z klęsk, niszczących siły narodu i zagrażających jego przyszłości, że gorszą od niej nierównie jest apatya życia zbiorowego, która toczy powoli, ale tem pewniej ducha, która nie rozbija, lecz rozkłada jedność narodową, odbierając jej wszelką treść żywą, która jest znamieniem zgrzybiałości i niemocy.

Przedewszystkiem dla rozwoju życia narodowego konieczny jest ruch, konieczne są prądy i dążenia zbiorowe, a już po tem trzeba się starać o to, ażeby dla dobra całości płynąć mogły wspólnem korytem. Zresztą często lepiej nawet, ażeby płynęły oddzielnie, byle tylko zbiegały się razem w punkcie pożądanym: zasada Moltkego, że maszerować należy oddzielnie, lecz walczyć razem, stosuje się tak dobrze do strategii, jak i do wszelkich postaci walki pokojowej.

Stronnictwa — słyszymy często — dzielą społeczeństwo na wrogie, w każdym razie na obce sobie odłamy. Jest to zdanie słuszne, o ile bierność w zakresie życia społeczno politycznego uznaje się za fakt normalny i pożądany. Jak tylko zaczyna się ogólny

ruch opinii i w szerokich kołach budzi się pragnienie czynu, stronnictwa zbierają i zagęszczają niejako nawpółświadome aspiracye mas, spełniają zatem pracę konsolidowania zarówno opinii jak i samego społeczeństwa. Prawda, że to skupianie jest tylko częściowe, ale innem narazie przynajmniej być nie może. Jeżeli wszakże opinia społeczeństwa znajdzie wyraz w kilku stronnictwach, to o wiele łatwiej w razie potrzeby przeprowadzić porozumienie pomiędzy niemi, niż pomiędzy dziesiątkami lub setkami tysięcy niezorganizowanych jednostek. Czemże wreszcie jest stronnictwo jak nie grupą ludzi, którzy zdołali się porozumieć co do podstaw oraz zasadniczych kierunków działania, którzy zatem nie potrzebują się spierać o punkt wyjścia, o A B C.

Oczywiście stronnictwo stronnictwu nie równe. Aż nazbyt często powstają parodye stronnictw bez żadnej idei, lub też z ideą poziomą i wązką, nie stronnictwa, lecz kliki albo koterye, mające za jedyne zadanie obrabianie interesów stowarzyszonych. Rzecz naturalna, że te wytwory niezdrowego życia społecznego budzić muszą nieufność i stanowią czysty minus świadomości zbiorowej, ale właśnie krzewią się one bujnie razwyczaj tam, gdzie do prawdziwych stronnictw politycznych społeczeństwo nie dorosło.

Narzekając na stronnictwa i przypisując im wszelkie waśnie i kłótnie, nie domyślamy się nawet, gdzie spoczywa istotna przyczyna jałowych sporów wewnętrznych. Klęską naszego życia zbiorowego jest to właśnie, że za stan normalny poczytujemy jednomyślność i stąd każda partya czy grupa czuje się

upoważnioną do traktowania innych jak odstępców. Stąd też szerokie rozpowszechnienie zyskały takie epitety jak "zdrajcy," "warchoły." "anarchiści" i t. p. które współzawodniczące grupy odrzucają sobie wzajemnie jak piłkę. Gdybyśmy z istnieniem stronnictw pogodzili się jako z faktem normalnym naturalnym wynikiem byłaby więcej sprawiedliwa i więcej rzeczowa ocena wzajemna. W każdym razie odpadłyby niedorzeczne i krzywdzące zarzuty "rozrywania jedności narodowej," które głośno rozbrzmiewają z lada jakiego powodu.

Racyą bytu stronnictw jest czyn zbiorowy i pod tym tylko kątem oceniać je należy. Co więcej jeżeli myślą one rzeczywiście o swych zadaniach, a nie o narzucaniu całemu społeczeństwu "jedności i zgody" to prawdziwa jedność sama przez się utworzyć się może we wszystkich tych przypadkach, kiedy do walki partyjnej niema rzeczywistych powodów i określonego przedmiotu. Każde bowiem stronnictwo godne tej nazwy dąży do osiągnięcia pewnych konkretnych celów i musi walczyć z innemi stronnictwami tylko wtedy, kiedy na terenie swego działania spotyka się z ich nieprzyjaznym a skutecznym wpływem. Komu nie o czyn chodzi, lecz o jednomyślność, temu nigdy nie zbraknie okazyi i powodu do kłótni lub rekryminacyi; kto działa i rzeczywiście działa, ten zwalczać będzie tylko prawdziwe przeszkody i rzeczywistych nieprzyjaciół, ten nie będzie porzucał terenu walki dla jałowych sporów.

Wiadomo, jaką atmosferę wytwarzały wśród naszej emigracyi polistopadowej bezustanne kłótnie partyjne. Historycy i pamiętnikarze nasi, opisując te

niesnaski, wyrażają zazwyczaj ubolewanie nad różnicami poglądów politycznych, które emigracyę naszą rozbiły na stronnictwa i przeszkodziły jej iść razem. Zdaniem mojem podział na stronnictwa nie odegrał tu bynajmniej roli decydującej i sam przez się kłótni tych nie wyjaśnia. Dwie największe grupy ówczesnej emigracyi: hotelu Lambert i Towarzystwa Demokratycznego nie miały realnych racyj do zwalczania się i obrzucania błotem dla tej prostej przyczyny, że działały, a przynajmniej działać powinny były na dwóch najzupełniej odmiennych terenach. Pierwsi próbowali oddziaływać na rządy, dyplomacyę, drudzy rachowali na rewolucyę europejską, na bratnie uczucia ludów.

O ile zwolennik ks. Czartoryskiego naprawdę wierzył w skuteczność swej roboty, mógł pozostawić na stronie rewolucyjnego demokratę, który robocie tej ani przeszkadzał, ani przeszkadzać nie mógł. Ten zaś, zapatrzony w młodą Europę ludową, nauczył się lekceważyć potęgi starego świata, nie mógł więc widzieć w stronnictwie ks. Czartoryskiego poważnych przeciwników. Zgodnie ze swą teoryą powinien był machnąć na nich ręką i robić swoje. A więc różnica stanowisk nie wyjaśnia bynajmniej kłótni emigracyjnych. Gdyby jedni i drudzy pchani byli żądzą prawdziwego czynu, działaliby właściwie jak dwie siły dopełniające się nawzajem, chociaż każda z nich mogłaby mniemać, że tylko ona idzie właściwą drogą. Czyn i tylko czyn jest tym wielkim medyatorem, który do wspólnego mianownika sprowadza rozbieżne dążenia. I jeżeli głębiej w rzecz wejrzymy, to dojdziemy do wniosku, że jałowe kłótnie partyjne

nie są przyczyną niezdolności do czynu, lecz przeciwni skutkiem i symptomatem niemocy zbiorowej. Umysł-sofista rad wynajduje najrozmaitsze pozory, ażeby uchylić się od czynu, aż by przenieść walkę na grunt fikcyjny i zadawalniać się fikcyjnemi zwycięstwami. Jest to fakt dobrze znany, że powodzenie skupia i jednoczy, a porażka rozprasza i sieje niesnaski; kłótnie i rekryminacye wzajemne, które stanowią pospolite zjawisko po klęsce wspólnych usiłowań nie są niczem innem jak objawem upadku ducha i wiary we wspólną sprawę.

Od wieków mamy sposobność obserwowania Żydów, z uznaniem mówimy o ich solidarności i stawiamy ją za wzór do naśladowania, a jednak nie umieliśmy zrozumieć, że solidarność ta stanowi przeciwieństwo naszego ideału "jedności i zgody." Społeczność żydowska bynajmniej nie nakłada więzów na swych członków, nie nakazuje im stosować się ustawicznie do większości, nie zbija członków swych w jedną masę na podobieństwo stada. Zamiast mechanicznie stłaczać ich i robić demonstracyę "jedności i zgody" nakazuje ona pielęgnować prawdziwy wewnętrzny związek oraz pamiętać o popieraniu zawsze i wszędzie ogólnych interesów żydowskich. Żyd konserwatysta będzie zwalczał partyę radykalną i w jej liczbie swych własnych współwyznawców, ale na drodze konserwatywnej postara się posunąć możliwie daleko ogólne interesy swego plemienia. To samo zrobi Żyd radykał na swojej drodze. A jednak jeden walczy z drugim i często rzeczywiście walczy. W rezultacie usiłowania Żydów na różnych częstokroć sprzecznych drogach zamiast znosić się nawzajem, doskonale się sumują,

obracając wniwecz naszą teoryę. A dzieje się tak tylko dlatego, że rozproszeni po różnych miejscach i stronnictwach Żydzi **naprawdę** pamiętają o swych wspólnych celach i nie spychają swych obowiązków na innych. Oni w całej pełni zrozumieli zasadę Moltkego, że można chodzić oddzielnie, a jednak uderzać razem. Przy całej swej solidarności, są oni przeciwieństwem zbitego, biernego, prawie nieruchomego stada, które jest naszym ideałem jedności. Postawić zasadę, że wszyscy muszą iść razem bez wskazania drogi, którą dążyć należy, to znaczy stworzyć grunt do bezustannych kłótni na temat wyboru owej drogi. To właśnie dzieje się u nas.

Nietylko w stosunkach wewnętrznych, ale nawet w akcyi zewnętrznej stronnictwa spełniają rolę naturalnego podziału pracy: każde z nich stawiając sobie odpowiednie zadania i wybierając właściwy teren, pogłębia swą myśl, doskonali metody oraz wynajduje środki. "Jedność" robi z tego wszystkiego bezpostaciową, chaotyczną mieszaninę, w której zatraca się wszelka myśl i konsekwencya.

Rzut oka na historyozofię.

Historya jest mistrzynią życia — powiedział już dawno Cycero. Dla ugruntowania w społeczeństwie naszem zasad jedności i solidarności zwrócono się po wskazówki do historyi: ona orzec miała, na czem polegały te błędy i właściwości narodowe, które stały się przyczyną naszej tragedyi dziejowej i których pod groźbą ostatecznej zagłady trzeba się koniecznie wyrzec. Postawiono historyi zadanie moralno-pedagogiczne, na czem najgorzej wyjść musiało zrozumienie istotnego przyczynowego związku faktów, który wogóle z pedagogią nic wspólnego nie ma: Cóż dopiero, gdy historyę pociągnięto do stwierdzenia tezy całkiem niedorzecznej, której rzeczywistość urąga tak dobrze w przeszłości jak i w teraźniejszości. Ażeby wywiązać się z zadania "mistrzyni życia" musi stanąć na głowie.

Państwo polskie upadło, gdyż nie zdołało wytworzyć dostatecznej spójni wewnętrznej, oraz dość silnej i sprawnej organizacyi militarnej. Jest to fakt. Można go oświetlać z różnych stron i otrzymywać mniej lub więcej wyczerpujące wyjaśnienia. W każdym razie nie może ulegać wątpliwości, że mamy tutaj do czynienia z bardzo złożonym procesem dziejowym, w którym uczestniczą czynniki geograficzne, rasowe, ekonomiczne i inne. Zwulgaryzowana historyozofia, której chodzi przedewszystkiem

o potępienie anarchii, redukuje cały ten proces do pewnych właściwości charakteru narodowego, mianowicie do ndywidualizmu i wygórowanej żądzy wolności, która wymaganiom organizacyi państwowej poddać się nie chciała. Chcieliśmy za wiele wolności osobistej i przypłaciliśmy to utratą niezależnego bytu państwowego oraz samej wolności zbiorowej i osobistej. Stąd już wysnuwać można całe pasmo mniej lub więcej mdłych i pustych morałów.

Jaką drogą szedł rozwój państwowy gdzieindziej? Gdzież są te narody, które osiągnęły jedność i silną organizacyę dzięki dobrowolnemu poddaniu się względom dobra ogólnego? Wystarcza podstawić powyższe pytania i zażądać na nie wyraźnej odpowiedzi, ażeby doprowadzić do absurdu całą ową moralizatorsko-sentymentalną historyozofię. Leży bowiem jak na dłoni, że wszystkie państwa w Europie powstały nie w drodze dobrowolnej umowy lub naturalnego współżycia, lecz w drodze ujarzmienia jednych przez drugich, że ciężki i nieubłagany młot walki i podboju wykuwał ogniwa jedności narodowej. Nigdy i nigdzie tworząca się władza państwowa nie znalazła samych łagodnych i potulnych baranków, do których wystarczało zwrócić się w imię "dobra ogólnego." Zresztą o czem przedewszystkiem pamiętać należy pojęcie owego "dobra ogólnego" powstać mogło dopiero wtedy, kiedy wytworzyły się realne węzły, które dały podstawę wspólnym uczuciom i początkom samowiedzy zbiorowej.

We Francyi postęp konsolidacyi narodowej szedł równolegle z wzrostem władzy królewskiej: ostatnia była ośrodkiem, skupiającym dokoła następców Ka-

peta różnorodne żywioły i przerabiającym je zwolna na jednolity naród francuski. Proces ten trwał całe wieki: królowie francuscy na każdym kroku spotykali opór i pokonywali go jedynie w długich okresach czasu niesłychaną wytrwałością, energią i konsekwencyą. Syn podejmował zadanie, któremu nie mógł podołać ojciec i przekazywał je wnukowi.

Historya niewiele wskazać może przykładów podobnie uporczywej i niezmordowanej polityki, uwieńczonej tak świetnym rezultatem. Rzecz prosta dzieje centralizacyi królewskiej są bardzo odległe od pokojowej sielanki: nieustająca wojna d mowa przez wieki całe była stanem normalnym, aż władza państwowa, uosobiona w następcach Kapeta, nie pokonała ostatecznie żywiołów odśrodkowych, aż nie stworzyła jedności francuskiej. Jeszcze za Henryka IV — mówi Hanotaux — nie było właściwie narodu francuskiego, był tylko dom królewski. Jeszcze następcy wielkiego króla staczać musieli ciężkie walki, ażeby utrzymać i ostatecznie utrwalić zagrożoną władzę centralną i z nią jedność Francyi.

Oczywiście władza królewska w swej walce z feodałami i w całej swej polityce skupiania Francyi nie była nigdy odosobniona, umiała jak wiadomo zjednać sobie potężnych sprzymierzeńców (Kościół, stan mieszczański), niemniej wszakże aż do wykończenia gmachu nieograniczonej monarchii miała dosyć niebezpiecznych wrogów, których zwalczać musiała z całą energią.

Podkreślając doniosłe znaczenie wojen wewnętrznych, nie mam oczywiście zamiaru posuwać się do twierdzenia, jakoby Francya została poprostu pod-

bita przez swych królów. Od pierwszych zresztą wieków królewskiej Francyi potężnym czynnikiem konsolidującym były wojny zewnętrzne. Zwłaszcza odegrały one ogromną rolę w tym okresie, kiedy władza królewska odniosła decydujące zwycięstwo nad feodalizmem, a nie zdążyła jeszcze unicestwić go całkowicie. Te siły, które już nic do czynienia nie miały w kraju, znalazły upust w szeregu wojen zewnętrznych, a te wysunęły Francyę na stanowisko pierwszego państwa świata i dokonały dzieła jej narodowego zjednoczenia.

Inną drogą poszedł rozwój polityczny Anglii. Zamiast do centralizacyi i do władzy królewskiej doprowadził on naród angielski do wolności obywatelskich, do parlamentaryzmu i szerokiego samorządu lokalnego. W ostatnich latach nasi zwolennicy spokoju i jedności powołują się często na Anglię jako na przykład organicznej ewolucyi, odbywającej się bez przewrotów i wstrząśnień. Trudno o większe nieporozumienie. Istotnie rozwój instytucyj angielskich należy uznać za "organiczny," ale bynajmniej nie w znaczeniu sielankowego lub kancelaryjnego spokoju. Do końca XVII wieku widzimy w historyi Anglii długi szereg burzliwych okresów, pełnych wojen domowych i krwawych przewrotów, dopiero od tego czasu ustalają się jej stosunki polityczne i ustają wojny domowe. Ale myliłby się mocno ten, ktoby mniemał, że odtąd niema już wstrząśnień i walk wewnętrznych. Oto obraz stosunków angielskich w drugiej połowie XVIII wieku, skreślony przez Sorela.

"Starcia tronu z parlamentem, Izby Lordów z Izbą Gmin, walka między stronnictwami w parlamencie

między liberalnymi a demagogami, oraz listy Juniusa przedstawiają uderzający obraz zamieszania w owej epoce. Parlament został rozwiązany w r. 1756, wybory sprowadziły takie nadużycia i przekupstwa, o jakich dotąd nie miano wyobrażenia. Hrabstwo Middlessex zamianowało deputowanym trybuna, obrońcę praw ludu, Johna Wilkes, który był skazany na karę. Podczas gdy gminy obradowały nad jego wyborem motłoch oswobodził go. Gminy wkroczyły za drogę wykonawczą i wydały rozkazy aresztowań. Lud w roku 1771 groził zagarnięciem okręgu pr wodawczego. Stronnictwa wydzierały sobie władzę z całą zajadłością. Mówiono powszechnie o poddaniu ministrów oskarżeniu. Wiek upłynął od dokonania rewolucyi; pozostawiła ona tradycye gwałtowności oraz skłonność do podejrzeń, poruszające umysły. Ministerya padały jedno po drugiem; w r. 1771 zmienił się gabinet, od lat 10-u siódmy. "Naród wstrząsany walką stronnictw — mówi Macaulay — tron obrzucony najgwałtowniejszemi obelgami, Izba Gmin pogardzana i znienawidzona przez naród, Anglia obruszona przeciw Szkocyi, cała Wielka Brytania przeciw Ameryce" — oto obraz Anglii w chwili, gdy przełom wschodni zajmował uwagę całego lądu."

"W oczach tych polityków (absolutnych monarchów i ich doradców) pisze w dalszym ciągu Sorel — Anglia była najwidoczniej rodzajem Polski na wyspach, Polski bogatej, rozważnej, skupionej w sobie, która zawdzięczała swą siłę oczywistą tylko szczęśliwemu trafowi, co pozbawił ją sąsiadów, lecz którą jej "rząd osobliwy" czynił niezdolną zarówno do ciągłości w zamiarach, jak i do energii w działaniu. A jedna-

Montesquieu uprzedził swych współczesnych; wykazał im, że należy "bardziej poszukiwać przyjaźni Anglii i więcej obawiać się jej nienawiści, niż zdawałaby się pozwalać na to zmienność jej rządu i jej wstrząśnienia wewnętrzne."

Stare średniowieczne cesarstwo Ottonów było przez długi czas wyrazem zjednoczenia niemieckiego. Atoli imponujący z pozoru gotycki gmach nie miał mocnej podstawy i przyszły wypadki, które niby taranem bić poczęły w mury cesarstwa rzymskiego, aż ze wspaniałej budowy pozostały ruiny. Niemcy już mieli jedność, ale ją stracili. Długi proces dziejowy, który to sprawił, stanowi przedmiot studyów i badań setek historyków; ostatni w różny sposób wyjaśniają dzieje i konieczny upadek "cesarstwa rzymskiego." Możnaby znakomicie ułatwić sobie pracę i znaleść uniwersalne wyjaśnienie całej burzliwej historyi owego cesarstwa i wszystkich jego walk wewnętrznych w "niezgodzie" Niemców, którzy, nie chcąc poddać się względom "dobra ogólnego," wszczynali raz po raz niszczące waśnie wewnętrzne, aż stracili jedność i potęgę. Oczywiście "niezgoda" i "zgoda" zależą od głębszych przyczyn, które należy znaleść, jeżeli się wogóle pragnie coś zrozumieć. "Niezgoda" jest zresztą normalnym stanem wielkich mas ludzkich, nie złączonych żadnem trwalszemi węzłami i wspólnemi interesami. Rzeczą pozytywną, którą należy tworzyć, budować, ochraniać i pielęgnować jest "zgoda." Ma się rozumieć, że dokonywało się to po wszystkie czasy nie przez morały i biadania na tematy szkodliwości "niezgody," lecz przez fakty, przez stworzenie takich warunków,

dzięki którym poczucie wspólności, jedności i dobra ogólnego stać się może realną siłą.

Stare cesarstwo niemieckie nadługo przed utratą swego formalnego bytu istnieć przestało i rozprzęgło się na drobne państewka. Jedne walczyły zawzięcie z drugiemi i w razie najazdu zewnętrznego nieprzyjaciela jedni Niemcy łączyli się z cudzoziemcami przeciwko innym Niemcom. Nie uchodziło to bynajmniej za zdradę, nie mogło uchodzić, gdyż poczucił wspólności zanikło, a pojęcie jednego narodu niemieckiego wraz ze wspólną ojczyzną nie istniało. Pozostał tylko surowy materyał, z którego inne czasy i inne ośrodki niemieckie tworzyć miały nową budowę.

Wiadomo powszechnie, że nowe cesarstwo niemieckie nie jest bynajmniej wskrzeszeniem dawnego. Z tamtego nic już do wskrzeszenia nie zostało. Musiały powstać nowe potężne ośrodki skupienia, musiały niwę umysłowości niemieckiej przeorać doni słe a różnorodne fakty, ażeby do poczucia jedności niemieckiej można było ze skutkiem zaapelować.

Zwycięstwa niemieckie na polach Francyi stały się cementem nowego cesarstwa, ale dla przygotowania tych zwycięstw trzeba było przewrócić porządek rzeczy w samej Rzeszy niemieckiej, trzeba było zbrojną ręką wyrzucić rywala, który przeszkadzał hegemonii Prus. Sedan poprzedziła Sadowa, a tu Niemcy walczyli z Niemcami.

Pobieżny rzut oka na dzieje trzech wielkich narodów Europy wystarcza, jak sądzimy, do przekonania czytelnika, że ani jeden z nich nie zawdzięczał i nie zawdzięcza jedności swej i potęgi jakimś samorzutnym aktom "zgody," że spoidła każdego z nich wykuwał

młot historyi, która nie ma obowiązku służenia za temat do tanich i płytkich morałów. Oczywiście możnaby przegląd ten rozszerzyć na inne kraje lądu europejskiego: napróżno szukalibyśmy państwa, któreby powstało i utrzymywało się dobrą wolą swych obywateli i któreby nie potrzebowało uciekać się do siły.

Wielka rzeczpospolita zaatlantycka przed pół wiekiem wystawiona została na próbę i o całość swą toczyć musiała jedną z najstraszliwszych i najkrwawszych wojen, jakie widział wiek ubiegły. Południowe stany chciały się oderwać i utworzyć oddzielne państwo; unioniści nie cofnęli się przed wojną domową i zbrojną ręką zmusili je do pozostania w związku. Był to więc właściwie podbój i nie darmo niektórzy doktrynerzy republikańscy ubolewali, że już wówczs Stany Zjednoczone sprzeniewierzyły się zasadzie wolności i swym własnym tradycyom.

Wbrew wynikom nauki i powszechnego doświadczenia, chcemy zapomnieć, że państwo z istoty swej jest organizacyą opierającą się na sile i przymusie, chcemy — gwałtem widzieć w niem dzieło dobrowolnej kooperacyi i obarczamy pokolenia naszych pradziadów brzemieniem win niepopełnionych. Nie chcieli ograniczyć swej wolności i poddać się obowiązkom wobec państwa oraz jego władzy — ależ gdzie i kiedy masy ludności zwłaszcza ludności rycerskiej bez oporu wolność swą i samodzielność komukolwiek oddawały? Wszędzie były pewne ośrodki, które usiłowały rozszerzyć swą władzę i było środowisko, które dążeniu temu stawiało mniej lub więcej silny opór. Czy u nas opór ten był wyjątkowo potężny? Takby należało sądzić na podstawie naszych ubolewań nad

niesfornością jednostki w dawnej Polsce, nad przesadnem umiłowaniem wolności obywatelskiej i t. p. A jednak ośmielam się twierdzić, że historykowi byłoby niezmiernie trudno obronić podobną tezę. Wszystko raczej skłania do wniosku, iż opór ten był słabszy niż na Zachodzie i jeżeli ośrodki nie dały sobie z nim rady, to dlatego, że same pod względem siły nie mogły się równać z ośrodkami tamtejszemi. Czego więc nam brakowało? Czy posłusznej masy, czy też tych, którzy w owych surowych czasach umieliby posłuszeństwo sobie nakazać, i, rzecz prosta, uzasadnić oraz usprawiedliwić swe przewodnictwo umiejętnemi rządami?

Bezwątpienia żywioł kierowniczy był w dawnej Polsce, ale wolno stawiać pytanie, czy był dość silny i dość liczny na ówczesne potrzeby i zadania. Nie należy bowiem zapominać, że już za pierwszych Jagiellonów teren panowania i wpływu państwa polskiego rozszerzył się tak nagle, że to co wystarczało wczoraj przestało wystarczać na dzisiaj i na jutro. W każdym razie w owej ważnej epoce, w której kształtowała się budowa państwa oraz jego charakter, koloryt całego ówczesnego życia politycznego uderza dziwną pogodą i łagodnością. W tym samym czasie, kiedy we wszystkich niemal państwach Europy toczą się straszliwe walki wewnętrzne, kiedy cały ląd dokoła tonie we krwi i pożodze, u nas panuje prawie zupełny spokój.

Oczywiście są kolizye różnych interesów, są spory i kłótnie, ale znajdują przeważnie rozwiązanie na drodze pokojowej. Wreszcie długo dojrzewający wewnętrzny zatarg zaostrza się i wybucha... wojną ko-

koszą. W porównaniu z tem, co się dzieje w sąsiednich Niemczech lub gdzieindziej, Polska przeżywa w wieku XVI polityczną sielankę. Nawet religijne namiętności, które huczą dokoła i zapalają długie, niszczące wojny bratobójcze, nie znajdują w kraju naszym odpowiedniego gruntu. I po tem wszystkiem każą nam wierzyć, że u nas tarcie wewnętrzne mocniejsze było niż gdzieindziej, że instynkty wolności i samodzielności były szczególnie potężne i że stawiały silniejszy niż gdzieindziej opór wymaganiom państwa nowoczesnego! Czyż raczej nie należy przypuścić, że walk wewnętrznych bylo u nas za mało, że jedność państwowa przyszła nam zbyt łatwo i nie zdobyła przez to dość mocnych i trwałych podstaw, że za wiele było w historyi naszej kompromisów, krakowskich targów, połowicznej łataniny, a zamało stanowczych rozwiązań. Do banalnych twierdzeń należy zdanie, że anomalia społeczna Polski jako państwa nowoczesnego polegała przedewszystkiem na braku stanu mieszczańskiego. Zwolennicy "jedności i zgody" powinniby jednak zrozumieć, że rozwój stanu średniego zakłóciłby mocno pokój wewnętrzny i równowagę stosunków społeczno-politycznych, że nieuniknionym rezultatem wzrostu zamożności i siły mieszczaństwa byłyby zacięte walki domowe podobne do tych, jakie miały miejsce na Zachodzie. Ucierpiałaby na tem "zgoda," ale prawdopodobnie zyskałby zdrowy rozwój narodowy. Nic tak nie demoralizuje całych klas lub stanów jak wiekowa synekura, która opiera się na przywileju i zupełnym braku współzawodnictwa. A w takiem właśnie położeniu znalazł się cały stan szlachecki.

"Byliśmy — pisał przed laty Zygmunt Krasiński 1) — najniepewniejszym, najbladszym, że tak powiem, narodem w historyi i ludzkości. Nic nigdy organicznego, zupełnego w nas nie było, ani arystokracyi, ani mieszczaństwa, ani ludu. Żeby nasza arystokracya miała z kim walczyć, jak francuska, jak angielska, byłaby dzielną i żywotną. Życie jest to tarcie się, jest to podwójność, a nie jedność spokojna, a szlachta polska była jednością pańską o nic niedbałą, bo nic jej się nie sprzeciwiało. Nie nauczyła się życia, w letargu leżała; obudzenie było śmiercią.

Zabierało się na coś w początkach, zdawało się, że my Słowiańszczyznę spoim i urządzim, garnęły się do nas narody i korony, ale z niczego korzystać nie umieliśmy, nic na czas zrobić... Gdzie kiedy jaki Polak był genialnym politykiem? Gdzie kiedy Polska wpływ na Europę, reakcyę choćby wywarła? Dobrze gadać obcym o Turkach, ale w rzeczy samej wojny tureckie nie były u nas owocem rozmysłu, przewidywania, tylko dziełem chwilowej nieodbitej konieczności. Czyśmy przejrzeli, jakby obalić potęgę turecką czyliż wyprawa pod Wiedeń nie była prostym przypadkiem!?"... "wojen u nas religijnych nie było. to tylko dowód, że nikt w nic nie wierzył mocno. O to, w co ludzie wierzą, biją się — wojna jest znakiem życia."

Co to jest owa "bladość," na którą skarży się poeta. Nic innego jak przeciwieństwo tego wszystkiego, co stanowi twórczą siłę dziejów, co przykuwa wyobraźnię nie tylko współczesnych, ale odległych pokoleń, co stanowi czar historyi narodu i przedmiot jego dumy. Chodzi o brak mężów z żelaza, brak wielkich na-

miętności i wypływający stąd brak politycznego geniuszu. "Bez namiętności niema geniuszu," mówi Mommsen.

Czyż trzeba drobiazgowo uzasadniać, że owa "bladość" to właśnie brak wyraźnych, określonych dążeń, to nieustanne zacieranie różnicy pomiędzy "tak," i "nie," to ustawiczne łączenie sprzeczności w jakąś pozbawioną wszelkiej barwy całość, słowem to stała kultura naszej "jedności" i "zgody."

Tak dalece zahypnotyzowaliśmy się błędną i tendencyjną doktryną, że nauczyliśmy się całkiem fałszywie tłomaczyć znane fakty naszego życia historycznego. Oceniając np.. **liberum veto,** chcemy widzieć w niem objaw przesadnego poszanowania indywidualizmu i woli jednostki. Niektórzy z historyków i prawników naszych uważali je za skutek zasady federacyjnej, łączącej wszystkie ziemie dawnej Polski: poseł był właściwie przedstawicielem **quasi** samodzielnego państewka i nie był obowiązany poddawać się uchwale większości. Jedno i drugie wyjaśnienie nie zgadza się z psychologią sejmów, żywo przypominającą wiece republik słowiańskich, nie zgadza się wcale z legendą o Sicińskim, która niewątpliwie jest bardzo poważnem źródłem psychologii zbiorowej, jest "historyczniejsza od samej historyi."

Sejm był tłumem bez organizacyi, bez stronnictw bez przywódców i jak każdy tłum nie mógł znieść w łonie swem wyraźnej różnicy zdań. Mógł albo stłumić głos opozycyi albo... przestawał być sobą, uznawał swą niemoc, musiał się rozejść.

Czy cierpimy na brak ludzi wyższego charakteru i zdolności, czy też nie dopuszczamy ich do przewodni-

ctwa wskutek wybujałego instynktu wolności i równości? Ustalona opinia oświadcza się za drugą alternatywą i.... ulega fatalnemu nieporozumieniu. A przecież wystarczy powołać się na dyktatury Kościuszki i Chłopickiego, na łatwość, z jaką naród uznał jedną i drugą. Co więcej nie ulega wątpliwości, że przez cały wiek ubiegły naród nasz zarówno w osobach swych wybitniejszych przedstawicieli jak i w masie szuka przewodników, którzyby go umieli poprowadzić, szuka i nie znajduje. Nieraz skupia swą uwagę i nadzieję na tuzinkowych, słabych jednostkach, które rzecz prosta brzemienia tego udźwignąć nie mogą, z których jedne się cofają, inne upadają w walce, jeszcze inne zostają szarlatanami. Tym pragnieniom i nadziejom zbiorowym dał wyraz największy nasz poeta w najwyższej chwili natchnienia, kiedy wieszczył przyjście wielkiego, potężnego męża. Czyż to nie głos instynktu narodowego, który odczuwa swój brak i źródło swej słabości? Zresztą jeden wielki opatrznościowy mąż jest w tym razie personifikacyą żywiołu kierowniczego wogóle t. j. całego szeregu wybitnych, silnych postaci, bez których nie wzrósł, ani nie podniósł się żaden naród.

Proces dziejowy zależy od bardzo wielu warunków, z których nauka umie ocenić tylko niektóre: próby wtłoczenia historyi w jakąś jedną formułę z góry są skazane na niepowodzenie.

Powyższe rozważania miały na celu stwierdzenie, że nasza popularna historyozofia jest nie tylko w wysokim stopniu jednostronną, ale co gorsza w zasadzie fałszywą. Wiadomo zresztą, że jest ona tendencyjną,

przystosowaną do pewnych określonych wymagań politycznych.

Historyczna szkoła krakowska, pozostająca na usługach miarodajnego stronnictwa politycznego usiłowała wpoić w ogół zasadę, że pierwszy obowiązek patryotyzmu i poczucia obywatelskiego, to stłumienie w sobie i w innych wszelkich popędów anarchistycznych i burzycielskich, to uznanie powagi władzy i pielęgnowanie spokoju społecznego oraz jedności. Wszak cała nasza historya — tak głoszą powagi tej szkoły — dowodzi, że tu spoczywa źródło naszej niedoli; jakże tedy myśleć o pomyślniejszym losie, jeżeli nie zdołamy się wyzwolić ze swych tradycyjnych wad. Otóż zadaniem historyi i polityki stańczykowskiej było obmierzić narodowi owe wady. Bolejąc nad wyuzdanym indywidualizmem przodków, którzy rzekomo nie chcieli uznawać żadnej powagi i żadnej władzy, ma odtąd Polak przejąć się takiemi uczuciami, ażeby odruchowo poddawał się wszelkiej powadze i wszelkiej władzy.

Parę uwag o polityce solidarnego Koła.

Solidarność posłów polskich w obcych parlamentach uchodzi w opinii naszej za jedną z tych fundamentalnych zasad, które bezpośrednio wypływają z instynktu samozachowawczego narodu i które są wyrazem jego jedności oraz warunkiem jakiejkolwiek siły. A jednak początki naszego przedstawicielstwa na gruncie parlamentaryzmu berlińskiego świadczą, że zasada powyższa nie jest wcale bezpośrednim nakazem uczucia patryotycznego. Rok 1848 był jednym z momentów naszej historyi porozbiorowej, w którym duch narodu podnosił się i wyrażał czynami, a jednak zasada solidarności posłów znalazła przeciwników w najwybitniejszych mężach Poznańskiego. Przez pierwsze dwie kadencye posłowie polscy nie tworzyli solidarnego Koła; powstało ono dopiero w trzecim sejmie pruskim, kiedy reakcya już wyraźnie wzięła górę. Stanowi to bądź co bądź pewną wskazówkę psychologiczną co do wartości samej zasady solidarności. W chwili wzmożonego nastroju patryoci wierzą w naród i w siebie, odpychają mechaniczną obręcz, a jednoczą się naprawdę we wspólnym duchu, we wspólnych dążeniach i czynach. Ale przychodzi klęska i rozczarowanie; wysoki nastrój mija, upadek ducha dyktuje postawę bierną. I oto zdobywa uznanie powszechne zasada solidarności, której tłem psychicznem jest bierność, a skutkiem unieruchomienie polityki

narodowej wskutek obojętnego, urzędniczego stosunku posłów do spraw ogólnych.

Na początku ery konstytucyjnej w Austryi nie było wyborów bezpośrednich do parlamentu centralnego; polityka krajów koronnych w stosunku do państwa rozstrzygała się w sejmach, a te obsyłały wiedeńską Radę Państwa. Reprezentacye krajów koronnych były rzeczywistemi delegacyami i jako takie, rzecz prosta, wyrażały opinię i stanowisko większości sejmowej. Atoli stan ten uległ zmianie; sejmom krajowym odebrano prawo wysyłania posłów i przekazano je bezpośrednio ludności. Odtąd reprezentacye krajów koronnych przestały właściwie być delegacyami.

Jak wiadomo, Galicya opierała się nowej ordynacyi i nie obsyłała przez czas pewien parlamentu centralnego. Kiedy w r. 1873 zdecydowano się uznać fakt dokonany i zgodzić się na wybory bezpośrednie, należało zdać sobie sprawę z nowej sytuacyi i wyprowadzić odpowiednie konsekwencye z faktu, że odtąd reprezentacya nasza charakter delegacyi utraciła. Rozwiązano kwestyę w ten sposób, że stworzono fikcyę, iż pomimo zmienionego położenia charakter ten ma się utrzymać i nadal. Na mocy tej fikcyi utrzymuje się zasada solidarności Koła.

Tłómaczenie to jest czysto formalne. Poprzednio środek ciężkości polityki polskiej w Austryi spoczywał w sejmie tu każdy poseł mógł występować zgodnie ze swem przekonaniem; głosując lub zabierając głos, pozostawiał sobą poddawał swą działalność kontroli wyborców i opinii ogólnej. Delegacya była zależna od sejmu, pełniła rolę pełnomocniczki sejmowej.

Stanowisko każdego posła w każdej sprawie podlegającej kompetencyi sejmowej mogło być dokładnie znane, istniała rzeczywista odpowiedzialność posłów, więc i opinia mniej lub więcej czuła się odpowiedzialną, za ogólny kierunek polityki. Wchodząc z bezpośrednich wyborów do solidarnego i strzeżonego tajemnicą urzędową Koła Polskiego, poseł staje się nieodpowiedzialnym osobiście, gdyż musi podporządkować wolę swą i własne przekonanie uchwale większości. Związek pomiędzy reprezentacyą parlamentarną a wyborcami istnieje tylko formalnie i w rezultacie ci ostatni przestają poczuwać się do odpowiedzialności wobec kraju i przyszłości narodowej, przyzwyczajają się zwalać ją całkowicie na głowy posłów, a sami grzęzną coraz bardziej w obojętności. Parlamentaryzm zmienia się w karykaturę.

Reprezentacya polska, pomimo zmienionych warunków, zasługiwałaby na miano delegacyi jedynie w tym wypadku, gdyby prowadziła w Wiedniu jakąś potężną jednolitą akcyę narodową, którąby kraj cały rozumiał i popierał. Wtedy i postulat solidarności wydawałby się naturalnym i zapewne przestałby wzbudzać zarzuty i wątpliwości. Akcya w dużym stylu stworzyłaby duszę solidarności Koła, którą formalny nakaz mógłby niejako dopełniać.

Otóż o niczem podobnem nie było mowy od roku 1873 aż do ostatnich czasów. Nakaz solidarności,

który tylko w silnej, energicznej akcyi czerpać mógł uzasadnienie, nie służył do niczego. Zmienił reprezentacyę polską w gromadę nieodpowiedzialnych biurokratów, odbrabiających obojętnie bieżące "kawałki," nie stawiających sobie żadnych rozleglejszych zadań.

Niewielu chyba znajduje się optymistów, którzyby upierali się przy twierdzeniu, iż Galicya tyle już otrzymała, że polityce polskiej nie zostało nic do zdobywania. Przeczy zresztą temu wniosek sejmowy z r. 1868, w którym zawierał się program polityczny na najbliższe lata. Był to program autonomii Galicyi, nie tej półautonomii, którą posiada obecnie, lecz prawdziwej autonomii, przenoszącej środek ciężkości życia politycznego kraju do sejmu.

"Delegacya Królestwa Galicyi i Lodomeryi wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskiem — brzmi drugi artykuł rezolucyi sejmowej — będzie brała udział tylko w tych rozprawach Rady Państwa, które się odnoszą do spraw temu Królestwu wspólnych z innemi częściami monarchii, reprezentowanemi w Radzie Państwa."

Artykuł trzeci wymienia sprawy, stanowiące przedmiot prawodawstwa sejmowego; zakres ich jest obszerny i zapewnia krajowi prawdziwą autonomię.

Ani sejm galicyjski, uchwalając pamiętny wniosek, ani opinia nie uważały bynajmniej programu objętego

rezolucyą za coś niezniszczalnego, za "program maksymalny." Przeciwnie był on raczej programem minimalnym, najzupełniej realnym, którego przeprowadzenie nie nastręczało szczególnych trudności.

Cóż się jednak z nim stało? Po pierwszem uderzeniu o kamień w wiedeńskiej Radzie Państwa wniosek autonomiczny osiadł na mieliźnie i odtąd wcale nie wypłynął na szerszą wodę. Według ówczesnej opinii ustępstwa z lat 1867—9 były niejako pierwszą znaczniejszą ratą należności, którą rewindykować miała nasza polityka w Austryi. Atoli stało się inaczej. Polityka galicyjska spoczęła na laurach i nie zrobiła odtąd ani kroku.

Apolegeci tej polityki i zwolennicy "wypróbowanej" zasady solidarności Koła powinniby nareszcie wytłómaczyć, co osiągnęła polityka polska w Austryi od r.. 1873 i do czego służyła zasada solidarności. Śledząc bez uprzedzenia, a też bez łatwowierności różne jej okresy, dojść musimy do wniosku, że nie było w niej nawet określonych dążeń. Koło Polskie w Wiedniu w przeciągu przeszło trzydziestu lat **urzędowało**, idąc według linii najmniejszego oporu i nie posuwając wcale naszej sprawy.

Przeglądając jakąkolwiek publikacyę polityczną lub dzienniki stańczykowskie z okresu Dunajewskiego i późniejszych, spotykamy się wciąż z twierdzeniem, iż swą wytrawną, lojalną i umiarkowaną polityką Koło

zdobyło ogólne uznanie w Wiedniu i zapewniło sobie duży wpływ w państwie. Nasuwa się naturalne pytanie, na co wpływ ten się przydał, jakie korzyści przyniósł krajowi. Niestety, na pytanie powyższe chwalcy polityki stańczykowskiej nie umieli dać wyraźnej zrozumiałej odpowiedzi nawet wówczas, a chyba jeszcze trudniej dać ją dzisiaj po latach dwudziestu kilku, zwłaszcza po doświadczeniach z ostatnich czasów.

Czy istotnie Koło Polskie posiadało wówczas tak wielki wpływ, jak głosiła opinia? Niewątpliwie i w tem było bardzo dużo przesady, dogadzającej naszej próżności. Miarą rzeczywistego wpływu nie może być nic innego, jak uzyskiwanie realnych korzyści politycznych lub nadawanie takiego kierunku ogólnej polityce państwa, który odpowiada naszym interesom narodowym. O niczem podobnem nie było jednak mowy. Wpływ wyrażał się w tem, że Polacy zajmowali ważne stanowiska państwowe, że otrzymywali teki ministeryalne i utrwalali opinię podpór państwa i dynastyi. Mogło to dogadzać próżności tłumu oraz interesowi koteryi, ale bardzo niewiele miało wspólnego z prawdziwą polityką narodową.

Wersya, że Austryą rządzą Polacy, szeroko była rozpowszechniona w Europie. Opierała się na dość efektownych pozorach i nie odpowiadała bynajmniej rzeczywistości. Publicyści cudzoziemcy jak np. Charles Dilke, podkreślając przeważające stanowisko Polaków

w Austryi, wyrażali jednocześnie zdziwienie, iż Polacy tak mało z wpływu swego korzystają. Nie brak było wśród naszej opinii głosów, zachwycających się bezinteresownością narodową polityków galicyjskich, którzy, znalazłszy się u steru pierwszorzędnego państwa europejskiego, umieją na pierwszym planie postawić dobro oraz potęgę tego państwa, nie zaś swe partykularne widoki.

Gdyby ówczesna pozycya Polaków opierała się nie na pozorach i fikcyach, lecz na mocnych podstawach, hr. Badeni musiałby stanąć przed sądem historyi jako ten, co roztrwonił kapitał moralny, troskliwie zbierany w Wiedniu w ciągu lat kilkunastu. Od niego bowiem od jego przegranej datuje się szybko spadek znaczenia i wpływu Polaków w Austryi: polityka galicyjska tyle w ostatniem dziesięcioleciu znieść musiała porażek i dotkliwych upokorzeń, tak często godzić się musiała z aktami rządowemi, o których bez niej lub wbrew niej zadecydowano, że kontrast pomiędzy ostatnim okresem a poprzednimi jest widoczny i nie stanowi żadnej tajemnicy dla szerokiej opinii. Wątpliwem atoli jest, czy należy obciążać za to odpowiedzialnością hr. Badeniego. Strata jest daleko mniejsza, niż się zrazu wydaje: spadł kurs sztucznie wyszrubowanych wartości politycznych, które nie miały dostatecznego pokrycia, nastąpiło bankructwo, ale był to nieunikniony skutek dawniejszej polityki, podbijającej kurs bardzo

wątpliwych papierów. Odpowiedzialność muszą ponieść poprzednicy Badeniego, musi wogóle ponieść cała polityka galicyjska, która budowała na piasku zamiast zakładać fundament na jedynym gruncie, jaki w czasach naszych jest pewnym i trwałym. Polityka narodu, nie posiadającego własnego państwa, ani nawet jego surogatu wtedy tylko może być silną i pewną swej drogi, kiedy opiera się na dążeniach szerokich mas; najważniejszem jej zadaniem jest uświadomienie tych mas, nadanie właściwego kierunku bezwiednym instynktom, drzemiących w ich łonie i wdrożenie do szerokiego udziału w politycznem życiu narodu, w jego aspiracyach i walkach. Galicyjscy mężowie stanu nietylko zadania tego nie rozwiązali, ale nawet nigdy go poważnie nie stawiali. Polityka ich nietylko nie sprzyjała budzeniu się ludu, ale wytworzyła szereg metod, które stały się prawdziwemi środkami nasennemi, powstrzymującemi rozwój opinii politycznej. Na pierwszem miejscu stoi niewątpliwie zasada solidarności Koła Polskiego w Wiedniu wraz z całym aparatem urzędowej tajemniczości, pokrywającej działania reprezentacyi galicyjskiej. Jest ona ochronnym murem, utrwalającym panowanie większości, tłumiącym w zarodku nowy prąd; przez lat przeszło trzydzieści zasada solidarności służyła wyłącznie interesom konserwatystów, którzy niemal do ostatnich czasów mieli zapewnione panowanie i mogli lekceważyć wszelkie

głosy nie wychodzące z ich obozu. T. z. demokracya galicyjska, która przeciwstawiała się konserwatystom, uznając jednocześnie obowiązek karności w Kole, nie mogła nigdy rozwinąć należycie swojego stanowiska ideowego i musiała zostać marną kliką, targującą się ze stronnictwem rządzącem o udział w mandatach i urzędach. Co więcej, solidarność oraz tajemniczość w stosunku do opinii musiały nadać całemu Kołu w stosunku do społeczeństwa pewne cechy kliki i jeżeli dzięki powyższym zasadom organizacyi wzrosła i utrwaliła się znakomicie spójność Koła, stało się to niestety kosztem nierównie ważniejszego związku posłów z masą wyborców, który musiał uledz rozluźnieniu lub nawet zerwaniu. Jakąż wagę mogą posiadać zobowiązania i obietnice posła, który w chwilach krytycznych może się zasłaniać obowiązkową solidarnością? A w takim razie nie warto zbytecznie zaprzątać sobie głowy, czy pójdzie do parlamentu Gaweł lub Paweł. Podobna praktyka, działająca przez dłuższy czas, musi się stać szkołą obojętności dla masy wyborców, a demoralizacyi dla kandydatów, którzy wiedzą, że nie po to sięgają po mandaty, ażeby coś na seryo przeprowadzać. Kultura bierności politycznej przytłumia wszelkie szersze dążenia; polityka staje się terenem osobistych lub koteryjnych zabiegów. Wszak Koło Polskie w Wiedniu przez długie lata niczego nie przeprowadzało i o nic nie walczyło. Rozmieniło praw-

dziwą politykę na setkę małych intryg, oddzielni posłowie załatwiali w kancelaryach wiedeńskich różne drobne sprawy, rozmieniając na drobną monetę "wpływ" Koła. Taka szkoła musiała w społeczeństwie galicyjskiem wyrobić **sui generis** poglądy na politykę i jej zadania. Utrwaliło się przekonanie, że nie jest ona i nie może być niczem innem jak walką o mandaty, wpływy, posady; na kierunki zaś polityczne i zadania ogólniejsze sceptyczny Galicyanin nauczył się oddawna patrzeć jak na manewry agitacyjne. O ile skutkują, są dobre, o ile zawodzą, złe. Z innego punktu widzenia rozważać ich ani oceniać nie warto.

Zwolennicy solidarności Koła powołują się zazwyczaj na to, że tylko dzięki niej reprezentacya nasza stanowi pokaźną siłę, z którą wszyscy się liczą, że bez niej nie miałaby ani tej powagi, ani tego znaczenia, jaki sobie oddawna wśród innych grup parlamentarnych zdobyła. Jest to wszakże rachunek na krótką, bardzo krótką metę. Regulaminowa solidarność nie wytwarza prawdziwej siły, co więcej stawia skuteczne przeszkody powstawaniu głębszych prądów i silniejszych dążeń, które są niezbędnym warunkiem mocy zbiorowej. Jest ona tylko demonstracyą siły, która może wprawdzie oszukać obcych, ale nigdy na długo. Taka demonstracya, trwająca lata i dziesiątki lat jest szczytem absurdu. Wiedeń oddawna zrozumiał jej istotną wartość. Za pozorną potęgę obdarzał też re-

prezentacyę naszą pozornem znaczeniem i pozornemi sukcesami.

Daleki jestem od uważania zasady solidarności Koła za jakiś grzech pierworodny polityki galicyjskiej, który sam jeden tłómaczy wszystkie jej późniejsze błędy i zaniedbania. Więcej odpowiadałoby rzeczywistości twierdzenie, że bierność tej polityki, że bezwiedna skłonność do stanu statycznego, do urzędniczego spokoju bez kłopotów znalazła wyraz w zasadzie solidarności, który posłowi odbiera indywidualność polityczną i robi zeń nieodpowiedzialnego członka ciała zbiorowego. Pojęcia przyczyny i skutki w złożonych zjawiskach politycznych są względne: skutek staje się z kolei czynnikiem, utrwalającym pierwotną przyczynę. Gdyby dążenia społeczne i narodowe w Galicyi były silne, gdyby wywołały ożywiony ruch umysłów i zainteresowanie sprawami ogólnemi w szerokich kołach, zasad solidarności nie mogłaby zapanować i stać się na długie lata niemal dogmatem narodowym. Bądź co bądź wątpliwości nie może ulegać jej ścisły związek z unieruchomieniem politycznem, z biernością, opierającą się na **status quo**, z konserwatyzmem w najgorszem tego słowa znaczeniu. To też momenty ożywienia politycznego w historyi Galicyi pociągają za sobą objawy niesubordynacyi w Kole Polskiem i łamania owej solidarności.

Groźnemi też okazały się dla niej postępy demokratyzacyi w systemie wyborczym. Już utworzenie pią-

tej kuryi sprawiło, że poza Kołem znaleźli się posłowie ludowi i socyalistyczni. Głosowanie powszechne zadało dogmatowi solidarności cios stanowczy. Przedstawiciele stronnictwa ludowego wyszli z wyborów w takiej liczbie, że trudno było wojować nadal zużytym frazesem, piętnującym ich mianem "żywiołów nienarodowych." Konserwatyści, którzy znaleźli się w mniejszości Koła dali rozgrzeszenie "żywiołom nienarodowym," weszli z nimi w sojusz, mający na celu przywrócenie przewodnictwa konserwatystów: zawierając pakt powyższy długoletni stróże dogmatu wyjaśnili jego istotny charakter, dowiedli, że nie był on żadnym nakazem etyki narodowej, lecz gwarancyą synekury politycznej stronnictwa rządzącego. Zasada solidarności w tej postaci, w jakiej obowiązywała dotychczas, dłużej utrzymać się nie da: musi ona uledz gruntownej rewizyi, któraby rzeczywiste dobro narodu uwolniła od serwitutów partyjnych i klasowych.

Ostatnie dwa lata były w pewnym sensie egzaminem całej polityki galicyjskiej, probierzem rzeczywistej wartości, stworzonych przez nią doktryn, koncepcyj oraz metod działania. Egzamin wypadł fatalnie.

I właśnie w tym czasie organizatorzy polityki polskiej w państwie rosyjskiem z gorliwością godną lepszej spra y zabrali się do przeniesienia na nasz grunt

"wypróbowanej" mądrości stanu konserwatystów galicyjskich. Odrazu przyjął dogmat solidarności Koła. Uczniowie przewyższyli mistrzów: stosunek posłów galicyjskich do opinii, prasy i wyborców jest wzorem jawności i lojalności wobec tych metod traktowania opinii, jakie wprowadza petersburskie Koło. Ani podczas kadencyi ani po niej wyborcy nie mają żadnych danych co do stanowiska poszczególnych posłów w innych kwestyach; wiedzą tylko, że w Kole "przeważyło" takie a takie zdanie, lecz kto je popierał i kto zwalczał, to pozostaje tajemnicą. Poseł jest dla swych wyborców wielkością nieznaną, sam wybór staje się karykaturą aktu politycznego. Wybrane w taki sposób Koło bierze od społeczeństwa tylko mandaty, ale nie otrzymuje żadnej myśli przewodniej, żadnej dyrektywy choćby w postaci najbardziej ogólnej. Może robić, co będzie chciało: apatyczny ogół ani mu nie będzie przeszkadzał, ani też nie będzie się poczuwał do obowiązku popierania swej reprezentacyi. Pomiędzy ostatnią a społeczeństwem istnieją tylko formalne węzły.

Zasada solidarności oraz tajemniczość, pozostawiająca daleko za sobą wzory galicyjskie, wytwarzać muszą w Kole duch konspiracyi w stosunku do własnego społeczeństwa, muszą zrobić niego klikę, która mu się przeciwstawia. W każdym razie świadomie lub bezwiednie musi ona dążyć do utrwalenia bierności

oraz bezmyślności ogółu, do utrzymywania go w stanie drzemki politycznej, która zapewnia "zgodę" opinii na takie lub wprost przeciwne wystąpienie posłów.

Polityka parlamentarna, która nie organizuje opinii i nie dba o ciągłe wzmacnianie swej podstawy operacyjnej w kraju, jest w dzisiejszych warunkach anomalią, jest kręceniem bicza z piasku. Nie jest ona w stanie wykroczyć po za ochronę **status quo** i jeżeli mówi o zdobyczach, łudzi tylko siebie i innych. To chyba wystarcza do oceny jej wartości.

A przecież inny jest **status quo** galicyjski, a inny nasz.

Chochoł.

Ostatnia scena "Wesela" to obraz niemocy zbiorowej. Czy i tu odegrywa swą złowrogą rolę niezgoda? Przeciwnie, poeta dał obraz jedności, ale tak przerażającej, że widzów dreszcz przejmuje. Jedność w wirze bezmyślnego tańca pod dźwięki muzyki Chochoła!

W nawoływaniach do bezideowej zgody i jedności słychać wyraźnie tę muzykę.

Jest to nakaz stałej gotowości do wszelakiego przystosowywania aż do wyzbycia się własnej istoty, przystosowywania do tego, co najbardziej nijakie, banalne, bezduszne.

Kiedy ogarnia nas pragnienie jedności, co ma zgładzić wszelkie przeciwieństwa, bądźmy pewni, że uwodzi nas muzyka Chochoła.

Bo taka jedność zobojętnia, rozcieńcza i wyjaławia ducha.

Nie da nam siły jedność pod komendą Chochoła.